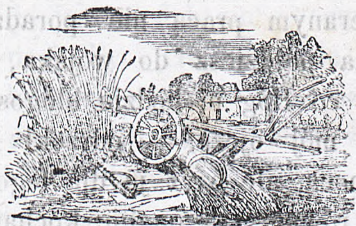
Tom I. 11. Kwietnia 1870. Nr. 11.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

List z Warszawy

Jana Kantego Gregorowicza.

Znowu wam przesyłam opis dwóch pięknych wydarzeń w tegorocznym u nas poborze rekruckim, godnych, aby je Dzwonek podał do powszechnej wiadomości. Żałuję niezmiernie, że treści podobnej nie mogę czerpać z innych stron kraju. Zmuszony jestem ograniczać się na samej okolicy pod Warszawą. Szkoda, bo wszędzie znajdą się dobrzy ludzie, o których wiadomość niemałą stanowi pociechę.

W Jeziornej posiadającej fabrykę papieru mieszka gospodarz rolny Bieńkowski mający dwóch synów, Antoniego i Jakóba. Młodszy Jakób razem z ojcem gospodarzył i stanowił mu w pracy niemałą pomoc, starszy Antoni był w służbie o mil kilka dozorcą lasów pracując sam wyłącznie na swoje utrzymanie Obaj byli dobrzy i porządni ludzie i nieszczęśliwym trafem obaj powołani zostali do losowania. Że jednak według prawa w jednym roku tylko jeden z synów może być wzięty do wojska, ojciec więc oświadczył przed delegacją, że jeżeli już koniecznie ma jednego z synów poświęcić służbie wojskowej, to do takowej przeznacza starszego.

— Ty jesteś starszy — rzekł mu — znasz więcej świat i ludzi, umiesz pisać i czytać, to dasz sobie lepszą

radę od Jakóba, bez którego niebym w gospodarstwie przy moim wieku steranym pracą nie poradził. Oświadcz więc, że bez losowania pójdziesz do wojska, staniesz się naszym dobrodziejem, za co Bóg ci będzie błogosławił.

— Prawda mój ojcze, — odrzekł Antoni — że Jakób jest dla was pomocą, ale czyż ja dla tego nie jestem waszym synem, czy was równie jak on nie kocham i nie szanuję?

— Kochasz to prawda i szanujesz — odezwał się biedny ojciec wzdychając — ale cóż ja nieszczęśliwy zrobię?

— To dla czegoż — rzekł Antoni — odrzucacie mnie od swojego serca a chcecie tylko przytulić Jakóba?

— Moje dziecko, Bóg świadkiem — odezwał się ojciec rozrzewniony — że cię równo kocham z Jakóbem, że serce krwawi mi się myśląc o tobie, ale...

— O! ja nieszczęśliwa matka! zawołała sama Bieńkowska załamując ręce z rozpaczą — o moje dzieci kochane, com je wykarmiła i wyhodowała!..

— Cicho matko, cicho! — przerwał ojciec a Antoni dodał:

— Uspokójcie się matko moja jedyna, Bóg litościwy, Jemu więc zaufajmy. Przy tych słowach zwrócił się do urzędników i rzekł:

— Kiedy jeden z nas ma iść koniecznie do wojska, to niech los stanowi. Jak Bóg rozporządzi niech się tak stanie. Podano więc urnę, pierwszy Antoni włożył rękę i wyjął kartkę.

— Los dobry — przeczytał urzędnik. Antoniemu rozjaśniła się twarz tajoną w sobie radością. Zaraz po nim przystąpił Jakób do urny. Los, który wydobył, był zły, przeznaczający go do służby. — Biedny młodzieniec zbladł, ojciec został jak niemy a matka załamała ręce i głośnym załkała płaczem.

— Nie płaczcie droga matko — po chwili odezwał się Antoni — tak jak pragnąłem, tak się stało. Ale jednak mimo tego Jakóba trzeba ocalić na waszą pociechę. Przez czas mojej służby trochę uciułałem grosza, dam go więc chętnie nic nie zostawiając sobie, wy dołożycie resztę a tak Jakób zostanie wykupiony. Nie chciałem odrazu wam powiedzieć,

jak myślę się rozporządzić z Jakóbem, bo pragnąłem przekonać was dowodnie, że i ja jestem dobrym synem, że i ja pragnę waszego szczęścia i pociechy. Gdyby mnie los był przeznaczył do wojska, byłbym poszedł bez szemrania, bo nie dając wam pomocy żadnej nie mam prawa żądać, abyście na mnie tak wielki robili wydatek. Jakób co innego, on pracuje na was, więc i ja więcej dbać winienem o niego, jak o siebie. W kilka dni potem Jakób już był wolny, a ile było radości z tego, łatwo możecie sobie wyobrazić.

Drugi wypadek miał miejsce u mecenasa pewnego z lokajem jego Franciszkiem, któremu nie udało się wyciągnąć dobrego losu przy losowaniu. Jestto chłopak dobry, porządny, pracowity, lubiony był bardzo przez państwa a szczególniej przez ich dwoje dzieci jeszcze małoletnich, które kochał z prawdziwie serdecznem uczuciem.

Gdy wiadomość doszła o losie Franciszka, dziatki zaniosły się płaczem, a gdy trzeciego dnia zobaczyły go ostrzyżonego i ubranego w płaszcz rekrucki, nie można je było prawie uspokoić. Przy pożegnaniu uwisiły się Franciszkowi na szyję ściskając go i płacząc oświadczyły, że go od siebie nie puszczą. Musiano aż przywołać ojca. Dziatki w płacz, potem w prośby, aby ojciec koniecznie postarał się o uwolnienie Franciszka, bo inaczej ze zmartwienia pochorują się. Cóż było robić? Czegóż ojciec nie zrobi dla dziecka, gdy go to tak serdecznie o co prosi? Zacny więc mecenas, wyjął z biórka czterysta rubli srebrem, co czyni najmniej sześćset złotych reńskich i zaniósł je do kasy rekruckiej. Dzieci znowu wolnego Franciszka przyjęły ze łzami radości. Czy ten jednak potrafi się wywdzięczyć za tak kosztowną dla siebie ofiarę? Czas to dopiero pokaże.

Trębacz Borysiewicz.

Mądre to i prawdziwe przysłowie staropolskie: nie wścibiaj nosa do cudzego grosza. Mimo to jednak człowiek łatwo ulega tej pokusie i zagląda ciekawie w cudze sprawy, by

przy jakiej dogodnej sposobności skorzystać z czegoś lub okpić drugiego. Rzadko jednak udaje się taka sprawka, najczęściej zaś człowiek taki potknie się w swych zamiarach i zamiast korzyści jeszcze o stratę siebie samego przyprawi. Tak to się stało z Austryakiem w r. 1809, gdy wtargnął do Księstwa Warszawskiego, które utworzył cesarz Napoleon pobiwszy Prusaka i Moskala i odebrawszy im część zrabowanych ziem polskich Austryacy myśleli, że wkroczywszy w 40000 żołnierza ze swym arcyksięciem Ferdynandem na czele pochłoną zaraz ten kraj mały. Księstwo Warszawskie miało wtedy tylko 8.000 wojska ale i ta drobna garstka zuchów pod Raszynem zmyła głowę ogromnej armii austryackiej i odebrała jej w krótkim czasie Warszawę, Lublin, Zamość i Sandomierz. Książę Józef Poniatowski, który był naczelnym wodzem wojska polskiego, prędko się tedy uporał z tym napadem austryackim. Kilka tysięcy Polaków zaś chcąc dać Austryakowi nauczkę, by się o cudzą własność nie kusił i nie napadał znienacka na sąsiada, oddając dobre za nadobne wkroczyło do Galicyi. Miał tedy arcyksiążę Ferdynand kłopotu niemało, bo nie tylko że nie dopiął swego celu i nie zagarnął Księstwa Warszawskiego, ale nadto jeszcze musiał się cofnąć do Galicyi i ciągle uciekać przed Polakami, którzy nań siarczyście nacierali. Ciężko odpokutowali Austryacy za swoją zachłanność, bo polskie wojsko nigdy spokoju im nie dało. Tymczasem nadciągnął cesarz Francuzów Napoleon z drugiej strony, pobił okrutnie armię austryacką pod Wagram, zmusił Austryą do przyjęcia wszystkich warunków pokoju a Polacy w skutek tego zaniechali tożsamo wojny. Ale gdybym wam tu chciał wyliczać wszystkie czyny rycerskie Polaków z tego czasu, nie doczekalibyście się końca tego opowiadania mego. Każdy żołnierz był chwacki i dzielny a wiedzieli o tem najlepiej Austryacy, gdyż po każdej bitwie wypadło im uciekać.

W wojsku polskiem znajdował się podczas tej wojny trębacz Borysiewicz, o którym Polacy i Austryacy jakby o jakiem dziwie mówili. Trąbkę jego znali dobrze Polacy, bo głos jej wiódł ich do zwycięztwa, wyprowadzał z zasadzki i niebezpieczeństwa, dodawał ducha rycerskiego i zapału do

walki. Trąbkę Borysiewicza znali doskonale Austryacy i Moskale, bo drżeli na sam jej odgłos.

Patrząc na Borysiewicza zdawało się, iż człowiek ten urodził się już chyba na trębacza. Był on niskiego wzrostu a przytem nadzwyczaj silny i kształtny, jakby z kamienia uciosany. Pierś jego była szeroka i mocno wypukła. Zdawało się, że nie potrzebował tchu zaczerpnąć, bo jak przyłożył trąbkę do ust, to nie tak prędko ją odjął, by odetchnąć choćby raz jeden. Wąsy miał Borysiewicz ogromne ale zawsze starannie uczesane i skręcone w długi a gruby sznurek, by mu przy trąbieniu nie przeszkadzały. Gdy Borysiewiczowi mówiono, by choć trochę podciął wąsy, bo mu rosną już bez końca i miary, Borysiewicz odpowiadał na to:

— Ktoby to robił! W potrzebie kiedyś będę mógł na jednym wąsie powiesić Moskala a na drugim Prusaka.

Gdy Borysiewicz przyłożył trąbkę do ust i silnie zatrąbił, trudno było żołnierzowi utrzymać się na nogach. Krew burzyła się w żyłach, nogi i ręce drgały, bagnet lub szabla sama się z rąk wymykała, a każdy tylko wzrokiem szukał nieprzyjaciela, by uderzyć na niego.

— Gdyśmy wkroczyli do Galicyi na Austryaka — mówił mi jeden wiarus, co służył w jednym pułku z Borysiewiczem — trzydziestu ułanów a między nimi ja i Borysiewicz stanęliśmy pod Lwowem. W mieście tem stał nieprzyjaciel silniejszy od nas nieskończenie, ale mimo to natarliśmy na niego, bośmy jakoś koniecznie pohulać chcieli we Lwowie. Nieprzyjaciel był daleko silniejszy, więc koniec walki był niepewny i wątpliwy. Niejeden stracił już ducha, ale wtem Borysiewicz zatrąbił z całej siły do ataku, wszyscy odżyli i skoczyli na nieprzyjaciela z pikami. Zanim jednak ulecieliśmy kilkadziesiąt kroków, już i na lekarstwo nie znalazłbyś Austryaka. Myśleli zapewnie Austryacy, że nadchodzi dla nas silna pomoc, skoro z takim hałasem i zapałem uderzamy na nich, więc czmychnęli tak prędko. Borysiewicz odetchnął dopiero wtedy spokojniej a jego Mucyk nie posiadał się z radości, biegał około niego i ogonem ruszał.

— Czy to był pies ten Mucyk? — zapytałem staruszka.

— Wyglądał on niby na psa — odparł staruszek — ale było to także jakieś dziwo. Widziałem już dużo psów w mojem życiu, ale takiego jak Mucyk nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Była to bestya dziwnie rozumna. Nie opuścił pana swego na krok nawet w najgorętszej bitwie, biegał wciąż obok jego konia, doskonale przytem rozumiał, kiedyśmy wygrali bitwę, bo w takim razie biegał naokoło swego pana, jak szalony, skomlił z radości i wykręcał ogonem. Nie uwierzycie w to co wam teraz opowiem, a przecież wszystko to jest świętą prawdą. Mucyk dziwnym węchem czy rozumem umiał odróżnić polskiego żołnierza od nieprzyjacielskiego. Jeżeli wśród bitwy zaplątał się pomiędzy nas jaki Prusak lub Moskal, Mucyk rzucał się na niego, obalał na ziemię lub szarpał za nogi i zajadłby go był na śmierć, gdyby kto z pomocą nie nadbiegł. Na polskiego żołnierza zaś nigdy nie zawarczał nawet, choćby go poraz pierwszy zobaczył. Ale i ilu to ludziom pies ten nieraz życie ocalił! Nieraz wśród bitwy przyszło nam opuścić stanowisko nasze i rzucić się w inną stronę na nieprzyjaciela. Jeżeli który z rannych żołnierzy nie mógł podążyć za swoimi, to bardzo łatwo wpaść mógł w ręce nieprzyjaciół. Mucyk biegał po pobojowisku a gdy znalazł takiego rannego, biegł do swego pana, skakał i zastępywał mu drogę dotąd, aż Borysiewicz pobiegł za nim do rannego.

— A to istnie dziwa mi tu prawicie! — zawołałem rozciekawiony tem opowiadaniem.

— I cóż się dalej stało z Borysiewiczem i z psem jego? zapytałem.

Staruszkowi na te słowa zakręciła się łza w oku. Sposępniał mocno i tak dalej opowiadał:

— Żałość wielka zbiera mię, ile razy przyjdzie mówić o tej nieszczęśliwej utarczce pod Wieniawką. Tam to poległ Borysiewicz właśnie wtedy, gdy trąbił do ataku, a myśmy już gonić poczęli za nieprzyjacielskiem wojskiem. Z przeciwnej strony padł strzał nieszczęsny, a kula ugodziła Borysiewicza w pierś samą. Zsunął się z konia dzielny trębacz a z martwej

ręki wypadła trąbka, która nas zawsze męztwem ogrzewała, zapałem przejmowała i do zwycięztwa prowadziła.

Tu rozmowa przerwała się nagle, bo staremu wiarusowi i mnie naraz po tem opowiadaniu na wielki smutek się zebrało. Obu nam stały łzy w oczach. Gdyśmy się trochę uspokoili staruszek szeptał dalej cichym bardzo i rozrzewnionym głosem.

— Po bitwie cały nasz oddział stanął około zwłok Borysiewicza. Staliśmy wszyscy jak niemi, piersi ściskał mocny żal a łzy cisnęły się do oczu. Bo jakżeż nie żałować tak dzielnego żołnierza i trębacza. Mucyk zaś przysiadł u nóg martwych swego pana i wył żałośnie. Litość i żałość zbierała człowieka patrząc na to poczciwe zwierzę. Gdyśmy zwłoki Borysiewicza złożyli do grobu i z boleśnym żalem rzucili grudkę na trumnę jego, chciałem wziąć z sobą Mucyka i trzymać to zwierzę u siebie. Ale trudna rada! Mucyk nie dał się oderwać od miejsca, gdzie padł jego pan z konia, nie chciał nic jeść i zginął nareszcie w tem miejscu.

— A cóż się stało z trąbką Borysiewicza? — zapytałem. Warto było schować ją na pamiątkę.

— Tak to się teraz mówi, ale wtedy inaczej trzeba było zrobić. Gdy Borysiewicz zginął, potrzeba było znaleść nowego trębacza. Było kilku takich, co się znali na tej sztuce, ale na trąbce Borysiewicza nikt zatrąbić nie potrafił. Każdy dmuchał w trąbę z całej siły, omal ducha nie wyzionął, ale z trąby dobywał się tylko głos bardzo słaby. Nikt nie miał takiej siły jak Borysiewicz, więc nikt na tej trąbce zatrąbić nie potrafił. Wtedy pomyślałem sobie: Ha, kiedy tak, to trąbka ta i po śmierci do Borysiewicza należeć powinna, skoro nikt na niej zatrąbić nie potrafi. Zgodzili się na to wszyscy i razem z trumną rzuciliśmy trąbkę do grobu!

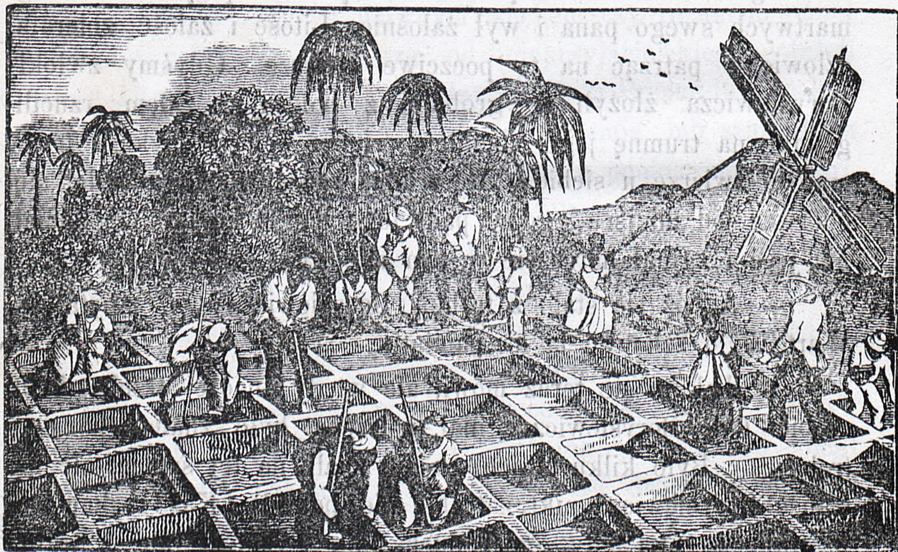
Gdy staruszek skończył to opowiadanie, pochylił głowę na dół, zasępił i zadumał się mocno. Nie śmiałem go pytać o inne jeszcze rzeczy, chociaż miałem do tego chęć wielką. Wiarus ten bowiem widział i wiedział bardzo dużo pięknych rzeczy, a umiał tak ładnie opowiadać o wszystkiem, że się trudno oderwać od takiej pogadanki przyszło. Podziękowałem

staruszkowi za jego opowiadanie, pożegnałem go serdecznie i odszedłem do domu, by wszystko to, co mi opowiedział, spisać zaraz dla Dzwonka.

Bartek Szkolarz.

O wyrobie cukru z trzciny cukrowej i z buraków.

Któż nie zna cukru? Gdzie jest dziecko któreby za kawałek cukru nie oddało chętnie kromkę chleba? Ale choć



Przysposobienie plantacyi pod trzcinę cukrową.

wszyscy cukier znają, nie wszyscy wiedzą, jak się robi. U nas robią cukier z buraków. Jest to wynalazek nie zbyt dawny, bo znany dopiero od czasu wojen napoleońskich. Dawniej tak w naszym kraju, jak i w innych, które z naszym sąsiadują, wcale cukru nie robiono, lecz sprowadzano go z dalekich zamorskich krajów, z Indyi, gdzie dotąd wyrabiają go w wielkiej ilości, ale nie z buraków jak u nas, lecz z rośliny zawierającej jednakże więcej niż buraki soku cukrowego, zwanej t r z c i n ą c u k r o w ą. Podczas jednej wojny, cesarz Napoleon zabronił dowozu wszelkich towarów zamorskich do Europy, zatem i cukru zupełnie u nas zabrakło. Była

jakiś czas wielka bieda bez tej słodyczy, do której ludzie niezmiernie już byli nawykli, ale w tym czasie znalazł się jeden Francuz, który odkrył, że nie tylko trzcina cukrowa, lecz i inne rośliny a osobliwie buraki zawierają w sobie dużo soku cukrowego. Odtąd zaczęto u nas wyrabiać cukier z buraków, przyczem potwierdziły się dwie stare jak świat i bardzo ważne prawdy, pierwsza, że potrzeba jest matką mądrości, a druga, że nie ma złego, któreby na dobre nie wyszło.



Zbiór trzciny cukrowej.

Trzcina cukrowa jest gatunkiem trawy, ale nie wiele do niej podobna, bo wyrasta na sześć do ośmiu łokci wysokości i miewa łodygi grubości ręki, liście zaś ma półtora łokcia długie a dwa cale szerokie. Trzcina cukrowa rośnie dziko, w gorących zamorskich krajach, gdzie zaś nie rośnie dziko, tam nie szczędzą trudu i pracy na jej uprawę, jest bowiem bardzo użyteczna.

Pole zasadzone trzciną cukrową nazywa się plantacyą, a jej właściciel lub dzierżawca, który się trudni uprawianiem trzciny cukrowej, nazywa się plantatorem. Plantacya trzciny cukrowej, jeżeli jest dobrze urządzona, może trwać dwadzieścia

i trzydzieści lat, dlatego też właściciel nie szczędzi kosztów i trudu przy jej zakładaniu. Abyście mieli jakie takie wyobrażenie, jak się to robi, podajemy wam rycinę, która przedstawia przysposobienie plantacyi pod uprawę trzciny cukrowej. Widzicie tu kawał pola, równo, starannie pokratkowany z wygłębionemi przegrodami; a czy się domyślicie, do czego mają służyć te przegrody? Oto w nich sadzą się korzenia trzciny cukrowej. Cóż to za różnica od uprawy buraków u nas! Na pierwszy rzut oka zrozumiecie, o ile to trudniej uprawiać trzcinę cukrową niż buraki. Wszystkie te kratki, które widzicie na rycinie, porobione są w ziemi z niemałym mozołem. Gdy są gotowe, wydobywa się nieco ziemi z każdej przegrody, przetrząsa się na powietrzu, napowrót w to samo miejsce wsypuje, poczem przystępuje się do sadzenia korzeni trzciny cukrowej. Kto się zna choć cokolwiek na uprawie ziemi przyzna, że nie mamy powodu zazdrościć owym dalekim krajom zamorskim trzciny cukrowej, skoro Ojciec wszechmocny dał nam zamiast niej buraki, z których przecie takie same możemy mieć użytki z daleko mniejszym kłopotem.

Tu wam jeszcze mili czytelnicy dodać winienem, że robieniem tych przegród jakoteż całą uprawą trzciny cukrowej zajmują się niewolnicy murzyni, kupieni jak bydło, i przez swoich panów gorzej niż bydło ciężką trapieni pracą, za którą oprócz nędznej strawy i lichego odzienia żadnej nie pobierają zapłaty. Widzicie ich na rycinie zgiętych we dwoje nad ciężką pracą, widzicie obok dozorcę, którego obowiązkiem przynaglać upadających do pospiechu. Takie jest całe życie nieszczęśliwego niewolnika murzyna. Dopiero śmierć, na którą z utęsknieniem oczekuje, przynosi mu swobodę i wypoczynek. Niektóre narody już dawno zniosły u siebie niewolnictwo. Przed niedawnym czasem toczył się w Ameryce bój zacięty, do którego to dało powód, że niektóre kraje nie chciały wyzwolić u siebie nader licznej ludności murzyńskiej. Po kilku latach skończyła się wojna. Zwyciężyli ci, którzy chcieli wyzwolenia niewolników i oto tysiące tysięcy nieszczęśliwych murzynów, z którymi dotąd obchodzono się jak z bydłem w jarzmie, odzyskało wolność, wolność pójścia i czynienia

co im się podoba i gdzie im się podoba. Są jednak jeszcze kraje na świecie, w których niewolnictwo dotąd kwitnie, a co więcej są narody, które ciągle trudnią się zakupnem i przedażą niewolników. Ale wróćmy do trzciny cukrowej.

Korzenia trzciny cukrowej zasadzone w przegrodach wypuszczają po niejakim czasie latorośla. Nowe teraz czekają trudy plantatora a jeszcze większe jego niewolników, bo właśnie teraz z największą potrzeba baczyć pilnością, aby latorośle rosły jak należy, to jest równo i prosto, te zaś, które uschnęły, zastąpić należy co prędzej świeżemi sadzonkami. Czynność to mozolna i wielu rąk wymaga, ale oto z dniem każdym przybliża się żniwo, bo gdy nadejdzie czas kwitnienia trzciny cukrowej czemprędzej zbierać ją trzeba, nie dopuszczając do zawiązania się kwiatu.

Praca ta wymaga pospiechu dla tego, ponieważ trzcina, która się na kwiat wysili, wydaje mało soku cukrowego. Już to co się tyczy pospiechu, to rzecz się ma tak samo, jak u nas podczas zbiorów. Ale zbiór trzciny zupełnie się inaczej odbywa, jak u nas zbiór zboża lub roślin innych. Właściciel plantacyi zebrawszy wszystkich swoich niewolników mężczyzn i kobiety, uzbraja ich w siekiery nie zaś w sierpy i motyki, jak się to dzieje u nas do żęcia zboża lub kopania buraków. Idą tedy murzyni jak wojsko, i dalejże ścinać i rąbać co żywo. I w tem także różnią się żniwa owe od naszych, że u nas, choć słońce doskwiera i strudnionym robotnikom pot z czoła się leje, przecież wesoła piosnka od czasu do czasu zabrzmi na zagonie i choć przy ciężkiej pracy dzień boży wesoło upływa robotnikom. Wszyscyśmy do pracy stworzeni, a że każdy pracuje albo dla własnej korzyści albo dla dobra swoich ukochanych i im pilniej pracuje tem obfitszy zbierze owoc, nikt się przy robocie, dlatego, że robić musi, nie smuci, chyba próżniak jak, co, nie godzien nazywać się boskiem stworzeniem. Inaczej myśli sobie niewolnik. Wie on, że po pracy nie czeka go spoczynek, i że z pracy swojej żadnej nie odniesie korzyści, wie że tylko ten, co za jego życie z góry zapłacił, zbierać będzie owoce jego krwawych wysileń. Ztąd też nie słychać nigdy wesołej piosnki

przy zbiorze trzciny cukrowej, jak u nas przy żniwach, lecz za to często zobaczyć można łzy, co z kroplami potu spływają po czarnych licach nieszczęśliwych niewolników.

Załączona tutaj rycina przedstawia zbiór trzciny cukrowej. Ściętą trzcinę wiążą w pęki, i na stojących w pogotowiu wozach odsyłają niezwłocznie do młynów, gdzie za pomocą stosownych przyrządów wyciska się z tych porąbanych kawałków trzciny sok słodki.

Dokończenie nastąpi.

Z Bogiem.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mówili starzy —
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.

Jedziesz w pole, masz siać zboże,
Z Bogiem zacznij pracę —
Bóg powiedział, rąk dokładaj,
A ja cię zbogacę.

Idziesz w drogę, chociaż blisko,
Z Bogiem wychodź z progu,
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,
To podziękuj Bogu.

Czy na rzekę puszczasz statki,
Z Bogiem zwyczaj stary,
Bóg uchroni od przypadku,
Przywieziesz talary.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mówili starzy,
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.

S. I.

Silni ludzie.

Grzegorz zapaliwszy świeżą fajkę, tak mówił dalej: Gdy król polski Zygmunt I. był z wojskiem swojem między Dąbrowną a Smoleńskiem niejaki Persztein, herbu Wieniawa, chciał przepłynąć Dniepr tamtędy płynący a był do kolan w pełną zbroję ubrany. Koń zaniosłszy go do połowy rzeki zrzucił go z siebie. Wszyscy myśleli, że pogrąży się w głębokości wody. Patrzał na to król Zygmunt i około trzy tysiące ludzi. Aż tu po pewnym czasie, chociaż ciężką miał zbroję na sobie, idąc nurkiem pod wodą po ziemi przeszedł Persztein na drugą stronę Dniepru i jak sam mówił dwa razy tylko napił się wody. Gabryel Modliszewski miał oprócz siły niepospolitą zręczność. Ścinał chłopcu pieniądz drobny z głowy nietknąwszy żadnego włosa. Nikodem Pieniążek był takiej siły, że konia równemi nogami w ubiorze husarskim przeskakiwał i podziwienia godne pokazywał sztuki. Chorąży Łęczycki zrywał naraz dwanaście powrozów konopnych a Wojciech Brudzyński, żołnierz za Aleksandra Jagiellończyka, w żelaznej zbroi podnosił sześciu husarzów do góry. Ścibor ze Ściborzyc, herbu Ostoja, gdy Zygmunt I. przepływał Dunaj pod Nikopolem w czasie wojny z Turkami, rzucił się w ciężkiej zbroi w wodę i za łódką królewską przepłynął Dunaj, który pod Nikopolem jest szerszy niż Wisła pod Warszawą.

Kopczak, piwniczy Branickiego kasztelana krakowskiego, w sześć koni zaprzężoną karetę zatrzymywał w największym pędzie ująwszy ją za tylne koła. Wspomniony dopiero Brudzyński jadąc na koniu, gdy się uchwycił belki nad bramą, podnosił w górę konia swego, ścisnąwszy go tylko obiema nogami. Wojciech Lachocki w pełnej zbroi przeskakiwał jadący wóz lub pędzącego konia. Wojciech Padniewski jednem cięciem ściął Turkowi głowę wraz z ręką do pachy. A mazur Łoś, gdy się położył na ziemi, nikt go nie mógł podnieść z miejsca. Byli i tacy co skrzydła wietrznych młynów zatrzymywać umieli. Michał Żołkiewski wyciągnięty sznur przecinał uderzeniem ręki a nosząc dwóch ludzi na rękach trzeciego utrzymał w zębach.

Ksiądz Druszkowski gdy komu ścisnął rękę, to mu tryskała krew ze wszystkich palców. Mając siedmdziesiąt lat wieku tak jeszcze był silnym, że przełamywał naraz dwanaście srebrnych łyżek.

— Ale dla Boga żywego! zawołał Stach Wątroba, to być nie może, żeby ci ludzie taką mieli siłę. To byli chyba olbrzymi, bo zwykły człowiek nie mógłby tego dokazać...

— Że to jest prawdą — odrzekł Grzegorz Bilski — to was zapewnić mogę. Stoi o tem wszystkiem w starych księgach i sam czytałem własnemi oczyma. Że to byli rośli ludzie i tęgiego ciała, to o tem wątpić nie można. Przekonywają nas pozostałe po nich żelazne zbroje i broń różna, jak już wyżej powiedziałem. Nie były to lalki, ale ludzie czynu. Co o niektórych ludziach piszą stare księgi, to prawdziwie zdaje się być niepodobną rzeczą, a przecież to prawda swięta...

— To jeszcze wiecie o innych silnych ludziach? — zapytał Michał Pieniacz.

— A tak jest, wiem — odrzekł Grzegorz — owóż posłuchajcie! I tak jął dalej opowiadać:

— Na króla Zygmunta Augusta napadł żubr, zwierzę do woła podobne, lecz większe i okrutniejsze. W tem Piotr Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, który był z królem, osadził żubra na oszczep i króla ocalił. Był to silny człowiek, któremu nic nie było dziwnego zatrzymywać rozpędzone karyty lub podnosić konia. Tomasz Olędzki, kasztelan zakroczymski, jednym zamachem rozcinał pięć talarów srebrnych, ułożonych jeden na drugim. Maciej Kostka, siedmiu ludzi, którzy mu się opierali, posuwał w którą chciał stronę, łamał podkowy w palcach, rozdzierał za jednym razem paczkę kart do grania, rozrywał powrozy i kruszył talary srebrne. Wojciech Cieński regimentarz, który żył za Augusta II pokazywał raz przed tym królem swoją siłę. Ująwszy grubą sztabę żelazną wyginał ją na wszystkie strony, poczem założył ją na szyję strażnikowi i zakręcił na węzeł. A ponieważ król, był także bardzo silny więc prosił, aby go rozwiązał. Próbował król August, ale podołać niemógł. Woła tedy sławnego z swej siły kowala z Warszawy, ale i ten nic nie poradził. Wtenczas Cieński

wziąwszy węzeł w rękę, rozwiązał go tak łatwo jakby był z wosku zrobiony. Tenże Cieński musiał mieć umyślnie dla siebie robione stołki i powozy, bo gdy siadł na cudzym natychmiast go złamał. Będąc w Tarnowie widział jak chłopi składali z wozu beczki z winem. Z jednej spadła obręcz, bali się więc staczać, by się wino nie rozlało. Nadchodzi tedy Cieński, wybił czop z beczki włożył dwa palce i na nich zniósł bęczkę na ziemię. Innym razem stojąc w cukierni widział, jak na przeciwległej stronie chłop kupował w sklepie żelazo. Trzeba mu zrobić figla, powiada do zgromadzonych i idzie do chłopa. A poczem poznajesz dobroć żelaza? — pyta. Po dźwięku, proszę jegomości odrzekł chłopek. Nie mój kochany, po giętkości próbuje się żelazo. I to powiedziawszy wziął szynę żelazną do rąk, wygiął ją kilka razy a potem opasał chłopa dokoła. Chłop w lament, bo Cieński odszedł. Chodzi od jednego kowala do drugiego, ale żaden pomódz nie może. Wraca zmartwiony do sklepu. Przychodzi Cieński i w okamgnieniu i ku zdziwieniu wszystkich rozwiązuje grube żelazo.

Teodor Łacki, pisarz polny litewski, nosił na dłoni stojącego mężczyznę a gdy się oparł o ścianę, nie dał się ruszyć z miejsca. Mógł się naraz potykać z kilkoma osobami. W Wenecyi rozjuszonego woła dzikiego za rogi ująwszy tak nim uderzył o ziemię, że mu kark skręcił. Liny zrywał jak nici, wstrzymywał wozy i tak łuk naciągał, że mu nikt nie wyrównał. Przyszedłszy z posłem tatarskim na dwór króla Stefana, tak naciągnął łuk wyśmienicie, że za to otrzymał od króla pięknego rumaka.

Dokończenie podamy wam w przyszłym numerze Dzwonka.

Niedziela palmowa.

Co roku obchodzimy w ostatnią niedzielę przed Wielkanocą pamiątkę religijną i dajemy poświęcać w kościele rószczki czyli gałązki z drzew świeżo rozwijających się — i nazywamy to palmami. Chowamy te palmy na pamiątkę i w każdej niemal chacie są one zatknięte koło świętych obrazów.

Otóż chcielibyśmy wam mili czytelnicy w krótkich słowach przedstawić ten zwyczaj przyjęty i w obrzędzie kościelnym zachowany.

Pan Jezus na sześć dni przed Wielkanocą po odbytej uczcie w Bethanii u Łazarza, którego z grobu powołał i wskrzesił do życia — wracał do Jeruzalem, i gdy się zbliżył do góry Oliwnej, wysłał dwóch uczniów do miasteczka, aby przywiedli mu oślicę, na której jeszcze nikt nie siedział. Uczniowie ci znalazłszy przywiązaną oślicę u furty, gdzie się dwie drogi schodziły, odwiązali ją — a pytającym się, dlaczego to robią, powiedzieli, że biorą ją dla Pana Jezusa. Wtedy uczniowie włożyli na oślicę swe odzienie robiąc posłanie i posadzili na nią Syna Bożego. I spełniły się słowa przepowiedziane przez proroka: ›Nie bój się córko Syońska, oto król twój jedzie cichy siedząc na oślęciu.›

Tłumy narodu usłyszawszy że Pan Jezus idzie do Jeruzalem szły naprzeciw Niego z rószczkami palmowemi wołając: Hosanna! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie! król Izraelski. Pokój na ziemi a chwała na wysokościach. I ci co wyszli naprzeciw Pana Jezusa i ci co szli za nim, zrywali gałązki drzew i rzucali je ścieląc drogę Panu.

Tak Syn Boży wjechał do miasta Jeruzalem.

Pamiątkę tę obchodzi kościół w całym świecie chrześcijańskim w niedzielę którą nazywamy palmową niedzielą, a zwyczaj święcenia rószczek czyli palm w ten dzień w naszym narodzie od czasu przyjęcia wiary chrześcijańskiej co roku się odbywa i wszędzie bywa zachowywany.

Przypomnieliśmy wam tę pamiątkę bo właśnie w niedzielę palmową posyłamy wam Dzwonek. *Józef z Medyki.*

Złote ziarna.

Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy,
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza